

NIEBEZPIECZNE CZASY

Ufaj Panu i nie wątp,

On jest twym Przyjacielem, jakże wiernym.

Co kiedykolwiek przynosi ci godzina,

On przenosi cię na nowo.

Śpiewaj, gdy dzień do ciebie się uśmiecha!

Śpiewaj również w ciemną noc.

Niech każdy dzień należy do Niego,

Śpiewaj, serce moje, śpiewaj!

1 września 1939 wstałem również wcześnie, jak zwykle. Pomodliłem się i pośpieszyłem ku bramie fabrycznej, by rozdawać teksty. Gdybym przeczuł, co się zdarzy za godzinę, pozostałbym w domu, nie ważąc się wyjść na ulicę. Dobrze jednak, że człowiek nie wie wszystkiego z góry. Mniej się boi.

Wracałem właśnie z fabryki i byłem już niedaleko domu, jak nagle powietrze wypełnił jakiś dziwny syk — wybuch! Potężna chmura pyłu uniosła się całkiem blisko. Prerażeni ludzie krzyczeli, biegali dziko dokoła, nie przypuszczając, nie wiedząc, co się stało. Pewnej kobiecie z sąsiedztwa urwało ramię, mnie odłamek uderzył w lewo udo. Dochodziła godzina 7. Nastawiliśmy radio na wiadomości i usłyszeliśmy, że jest wojna! Była to więc pierwsza bomba niemiecka. Ile będzie następnych...?

Ostatnie dni były jakby ciężko chore, ale nie wyobrażaliśmy sobie, że wybuch wojny jest tak bliski. Dopiero co rozpoczęła się mobilizacja polskich sił zbrojnych. Kopano już rowy przeciwlotnicze. Nadmierne zakupy w sklepach też były złym znakiem, ale żeby tak szybko — nie! Zostaliśmy rzeczywiście zaskoczeni. Wszelako poprzedniego dnia powiedziałem poważnie jednemu bratu, który musiał iść do wojska: „Za 16 dni będziesz z powrotem”. Myślałem o swej wizji. A więc 5 lat wojny — jakże długi czas! I wówczas pojawiła mi się w sercu całkiem inna pieśń. Wycofałem się w milczeniu, modliłem i coś we mnie nadal śpiewało. Nie zauważyłem, że zaczynam śpiewać na głos. Przyszedł wtedy brat Artur i spytał:

— Gerhardzie, co robisz, czy nie wiesz, że jesteśmy otoczeni przez Polaków?

Tak, należeliśmy do mniejszości niemieckiej, która w ostatnich tygodniach głośno o sobie mówiła. W Polsce było wtedy około dwóch milionów Niemców. Rząd polski i również opinia publiczna widziały w tym wielkie niebezpieczeństwo, jako że przenikały tu tendencje hitlerowskie. Nie ma się co dziwić, skoro gospodarcze i społeczne związki niemieckie w Polsce pozdrowiały się słowami „Heil Hitler”! Wiosną 1939 rząd doszedł do wniosku, że trzeba izolować organizatorów niemieckich stowarzyszeń. Gdy sytuacja coraz bardziej się zaostrzała, aresztowano również podrzędnych szefów, nawet najmniej znaczących, przewożąc ich do polskiego obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej. A więc teraz, gdy wybuchły bezpośrednie działania wojenne, mogliśmy się liczyć z najgorszym. Byliśmy w podwójnym niebezpieczeństwie: od

bomb i zbliżającego się frontu, oraz że będziemy zabici przez Polaków. To ostatnie było najgroźniejsze. I tak się też działo. Tysiącami aresztowano niemieckich mężczyzn i pędzono na Wschód. Wyciągnięto także wielu naszych braci i siostr, niektórych z nich nie oszczędzano przed okrutną śmiercią z morderczej ręki. Gdzie cofała się Armia Polska i napotykała na niemieckie osiedla, tam było strasznie. Również mego teścia spotkała śmierć. Zrozumiałe więc, że z utęsknieniem czekaliśmy, by jak najszybciej przeszedł front.

W Łodzi też zaczęto szukać Niemców. Nie ważyliśmy się już wychodzić na ulicę, ale pozostawanie w domu było także bardzo niebezpieczne. Powierzyliśmy się przeto całkowicie Panu. 6 września odczułem wewnętrzne upomnienie, by opuścić mieszkanie i pójść do śródmieścia, gdzie znajdowała się już moja żona. To samo upomnienie odebrał również Artur. Także jego żona była już gdzie indziej. Pomodliliśmy się jeszcze raz wspólnie, po czym każdy poszedł w innym kierunku. Dowiedzieliśmy się potem, że właśnie już tej nocy przyszli po nas. Jak cudowny jest Pan Bóg! 8 sierpnia wieczorem ulice naraz opustoszały. I dowiedzieliśmy się, że już przyszli tu Niemcy! Wzięli Łódź bez żadnej walki. I faktycznie, w takich okolicznościach zagrożenia życia dziękowaliśmy Bogu, że oni tak szybko zdążyli tu przyjść.

Kilka dni później podążyłem już rowerem, by zobaczyć, co dzieje się z braćmi i siostrami w Zagórowie i w rejonie Poznania. Było wprawdzie jeszcze niebezpiecznie, ale okolice te zostały szybko opanowane przez administrację niemiecką nadciągającą zaraz za pierwszymi oddziałami wojsk i uwalniającą wszystkich zaaresztowanych. Choć niektórzy bracia i siostry stracili życie — ponieważ nosili nazwiska niemieckie i nie mówili płynnie po polsku — inni doznali wspaniałego ocalenia. Pozwolę tu sobie przytoczyć pewien przykład. Siostra H.Z., która jeszcze dziś żyje w Meklemburgii, była członkinią zboru w rejonie Zagórowa. W domu jej rodziców często odbywały się nabożeństwa. Bardzo ładnie śpiewała, wobec czego towarzyszyła nam ze swymi braćmi, gdy udawaliśmy się do innych wiosek. W momencie wybuchu wojny znajdowała się w drodze do wioski, gdzie mieszkali Niemcy. Zaaresztowano ją razem z 8 innymi osobami i poprowadzono na rozstrzelanie do lasu. Po drodze powiedziała do polskiego oficera:

— Możecie mnie zastrzelić, ale i tak będę żyć, bo Pan Bóg dał mi życie wieczne.

On jednak zaklął i rzucił jakimś nieprzyzwoitym słowem. Postawiono Ją w środku. Wydano rozkaz strzelania. Podniosła ręce ku Bogu, wielbiąc Go głośno po polsku. Zagrzmiały strzały. Ona modliła się jednak nadal. Gdy otworzyła oczy, na prawo i lewo leżeli zabici mężczyźni, a między nią i krzyczącym oficerem stali żołnierze. Odmówili mu posłuszeństwa i nie pozwolili uczynić jej krzywdy. Również moja rodzinna wioska została pominięta. Postanowiono już wprawdzie powyrzucać Niemców z domów, gdy nagle pojawili się dwaj niemieccy żołnierze na motocyklach, przejechali szybko przez wieś, pędząc dalej do owej polskiej wioski, skąd groziło nam niebezpieczeństwo. Zginęli jednak od polskich kul. Ze łzami w oczach mówili później bracia i siostry: „Ci dwaj ofiarowali za nas życie”. Ich pojawienie się bowiem powstrzymało Polaków przed przyjściem do naszej wsi, mimo że oddziały niemieckie weszły tu dopiero po kilku godzinach.

Wkrótce zaczął się nowy porządek. Dotyczył on również wspólnot chrześcijańskich. Co w Niemczech zostało już rozwiązane, to również w Polsce obowiązywało. Braciom nie pozostało nic innego, jak dołączyć się do baptystów. Mniejsze zbory rozwiązano. Odwiedziłem jeszcze raz małe grupy. Było to już niebezpieczne, ale Pan Bóg cudownie mnie ochronił. Pewien pastor o nastawieniu bardzo nazistowskim, który poprzednio bardzo nas zwalczał, już się właśnie wybrał z donosem na brata Schwuchta, Ledermanna i na mnie. W drodze dostał jednak zawału i zmarł, nie zdążwszy spełnić swego zamiaru.

Chciałem teraz przejściowo zająć się handlem, zanim się sytuacja unormuje. Myślałem o tym, by wozić do swych stron rodzinnych tkaniny, jako przedstawiciel firmy tekstylnej. Poradził mi tak jeden z braci. Ale w

trakcie modlitwy otrzymałem impuls, by otworzyć Biblię, co właściwie w takich przypadkach czyniłem. Tym razem czując jakby przymus, otworzyłem ją. Spojrzenie moje padło na słowa z Mądrości Syracha 11,10: „Synu, nie bierz na siebie za wiele spraw, bo jeśli będziesz je mnożył, nie unikniesz szkody”. Wydało mi się to ostrzeżeniem. Odczułem wewnętrznie, że mam polegać na Panu, wyjechać ponownie i odwiedzić opuszczonych braci i siostry. Wszyscy bowiem bracia, oprócz O.J., byli praktycznie zmuszeni, by pójść do jakiejś pracy. Kilka razy pojechałem z tkaninami. Nic przy tym jednak nie zarobiłem. Nie mogłem przecież wymagać wyższej ceny i sprzedawałem po cenie hurtowej, według której towar kupiłem. Nie byłem bowiem handlarzem; sumienie nie pozwalało mi wyznaczać ceny detalicznej i zarabiać w ten sposób na życie. Pan Bóg chciał mnie żywić! W Jego służbie miałem pozostać, również w zmienionych okolicznościach. Gdy znów szykowałem się w podróż, powiedziałem do żony:

— Ten Polak, szewc, okradnie nas, zabierze mi wszystko co ziemskie, co dostałem w służbie u Pana Boga, gdyż teraz nie wypełniam Jego woli.

I pojechałem.

Gdy wróciłem po jakimś tygodniu i zadzwoniłem do drzwi, żona jeszcze przed otwarciem zawołała:

— Wiesz, co się tymczasem stało? Całkowicie nas okradziono!

— Alleluja! — odpowiedziałem — teraz wiem, że Słowo z Mądrości Syracha było dla mnie ostrzeżeniem Bożym.

I to był właśnie ów szewc. Nie zgłosiliśmy tego niemieckiej policji okupacyjnej, gdyż oboje widzieliśmy w tym dopust Boży.

Postanowiłem teraz odbywać dalsze podróże w tajemnicy i usługiwać braciom. Radość tych osamotnionych była wielka. Były to nabożeństwa domowe, ale bardzo je sobie ceniliśmy. Gdy znów z takiej podróży wróciłem do domu, przyszło do mnie kilku braci z prośbą, abym z takich podróży zrezygnował, bo mogę również innych narazić na niebezpieczeństwo. Moim właściwym zawodem ma być przecież nauczanie. Powiedzieli, że Pan Bóg ten czas przewidział i dał mi możliwość studiowania, jako że nic się nie zdarza bez Jego woli. Uważali, że powinienem teraz zgłosić się wreszcie w urzędzie do spraw oświaty, a potem jako nauczyciel mógłbym przecież przekazywać dzieciom niejedno z Biblii. Wpływowe siostry prosiły również żonę, aby mnie do tego przekonała. Początkowo broniłem się przed takimi pomysłami, uważając, iż Pan wie przecież o wszystkim i zdoła mnie ochronić. Kiedy jednak ciągle i uporczywie mnie naciskano, poddałem się, pocieszając się myślą, że będę wobec tego odwiedzać braci i siostry w czasie niedziel i wakacji.

I tak oto pewnego dnia zamieniłem się w nauczyciela. Zakwaterowano mnie w Rozanowie, niedaleko Łodzi. Wśród dzieci czułem się znakomicie. Szkoła mi odpowiadała. Po niewielu miesiącach szkoła ta uzyskała wyższy poziom i mogłem liczyć na awans. Ale jednocześnie zaczęły się też ciężkie zmagania wewnętrzne. Musiałem uczęszczać na kursy szkoleniowe, zostać kierownikiem szkolenia nazistowskiego, by reprezentować administrację hitlerowską. Dziwiono się, dlaczego nie wstępuję do partii. Jako nauczyciel musiałem czytać takie książki, jak „Mein Kampf” oraz „Mythos” Rosenberga, jak również inne antychrześcijańskie publikacje. Potem usunięto modlitwę. Miało ją zastąpić pozdrowienie hitlerowskie. Jednakże już po moim nawróceniu, w zimie 1935 roku, ujrzałem w wizji, kim jest Hitler. Zadrzałem, a słodki pokój Boży zaczął odchodzić z mego serca. Jednakże pójście do Państwowej Rady Szkolnej kryło w sobie wielkie niebezpieczeństwo.

W owym czasie brat J. otrzymał wewnętrzny bodziec, aby mnie odszukać. Był nadal kaznodzieją w zborze chrześcijan ewangelicznych, do którego należało wielu zielonoświątkowców. Ale również on musiał się spodziewać, że każdego dnia może być od tego odsunięty. Gestapo deptało mu już po piętach. Ja zaś pożałowałem się mu na temat moich zmartwień. Choć groziło mu niebezpieczeństwo, powiedział:

— Gerhardzie, jeśli w tej nowej sytuacji utracisz swój pokój, a sumienie cię oskarża, to czyń to, co sumienie ci mówi, ale wtedy, gdy odczujesz bliską obecność Bożą.

Taki mniej więcej był sens jego słów. Nie mogłem ich nigdy zapomnieć. Pan Bóg go przysłał, by mi pomóc w tej ciemnej godzinie.

Walka była coraz trudniejsza. Pewnego dnia musiałem po lekcjach dopilnować jeszcze zebrania partyjnego. Miałem tego po same uszy. Dopiero późno wieczorem mogłem wreszcie wrócić do domu. Żona była już zaniepokojona i pytała, gdzie się tak długo podziewałem. Wtedy „wyszedłem z siebie”. Nic potrafiłem powstrzymać już języka. Rzucałem okropnymi słowami, jak niegdyś, kiedy jako niewierzący żyłem w niepokoju i często się złościłem. Żona była przerażona. Czegoś podobnego jeszcze dotąd przy mnie nie przeżyła. Potem siedziałem cicho, w milczeniu. Wszystko odeszło, odeszło bezpowrotnie — taki był rezultat 9 miesięcy służby szkolnej w tym reżimie... Długo płakałem, aż wreszcie zdołałem ponownie zawołać do Pana. I wrócił dar języków. Co za pociecha! Żona uklękła obok i znów razem znaleźliśmy się w takim stanie, że mogliśmy wielbić i sławić Pana. “Jeśli czeka mnie śmierć, to trudno — zdecydowałem — ale dla tego reżimu nie będę wychowywać ani jednego dziecka”. Udałem się do radcy państwowego. Już po kilku słowach zorientował się co do mojej prośby. Był wobec mnie życzliwy. Zrozumieliśmy się spojrzeniem naszych oczu. Dalsze słowa były zbędne; również on musiał być kryty. Po 2 tygodniach przysłał mi następujące pismo: „Zgodnie z pańskim życzeniem wyrażonym w rozmowie osobistej, by zrezygnować z zawodu nauczycielskiego, przychylam się do tej prośby. Stosunek pracy rozwiązuje się od 30 września.”

Byłem wolny. „... umknąłem jak ptak z siideł!” Alleluja! Teraz nie radziłem się już ciała i krwi, ani nawet najlepszych przyjaciół. „Mój najlepszy przyjaciel jest w Niebie” — tak oto dawniej często śpiewałem, a teraz mam ten fakt przeżywać wielokrotnie, jako codzienną rzeczywistość. Bezwarunkowa zależność od Niego była jakby moim hasłem. Nie popadłem więc w niebezpieczeństwo, by innego brata narazić w rozmowie na niebezpieczeństwo. I już niebawem miałem w wyobraźni dalsze, potrzebne i drogie memu sercu odwiedziny u zielonoświątkowców, którzy byli osamotnieni. I wypełniałem to tak, jak Pan Bóg mnie prowadził. Ale On miał wobec mnie jeszcze inne zamiary.

Brat S., przełożony zboru baptystów, przyjechał w owym czasie do Łodzi. Poznał mnie z nim Artur, po czym zaprosił mnie do Seminarium Kaznodziejskiego w Hamburgu. Związek chciał pokryć koszty podróży. Nadal pragnąłem nauczyć się greki, a teraz pojawiła się ku temu możliwość. Zaniósłem to przed Boga i otrzymałem wewnętrzną wolność przyjęcia tego z Jego ręki. Tak właśnie było dobrze, bo wkrótce po moim odjeździe przyszli do naszego domu gestapowcy i wypytywali żonę, dlaczego zrezygnowałem z zawodu nauczycielskiego, gdzie teraz jestem i co robię.

— Och — powiedziała żona — mój mąż jest jeszcze młody i studiuje w Hamburgu.

Gdy z dalszej rozmowy dowiedzieli się, że jej ojca na początku wojny Polacy zabrali, opuścili szybko mieszkanie. I już więcej nie przyszli.

Hamburg był cudownym zrządzeniem Opatrzności. Tutaj poznałem pierwszych kaznodziejów zboru

zielonoświątkowego „Elim”, braci L.R. Nieco wcześniej poznałem na spotkaniu w Łodzi jeszcze brata E.L., który tymczasem tam działał. Powiedział mi również o zielonoświątkowcach w Berlinie.

Nauka przynosiła mi wiele radości. Miałem szczególnie dobrego nauczyciela — bardzo cenionego starszego brata Jansena. Codziennie uczyłem się około 60 słówek; z czego pozostawało mi w pamięci przeciętnie 40. Po 5 miesiącach byłem w stanie nie tylko czytać, ale również rozumieć Nowy Testament po grecku. Poza tym chodziłem na wykłady brata L. Chociaż należałem do zielonoświątkowców, do czego się szczerze przyznawałem, mogłem często służyć w zborach baptystów. Gdy miałem jakąś niedzielę wolną, szedłem do zboru „Elim”, przyłączonego do tej społeczności.

Nadeszło Boże Narodzenie roku 1940. Mając żonę i dziecko mogłem pojechać na święta do Łodzi. Innych braci proszono bardzo serdecznie, aby odwiedzili zbory osierocone przez kaznodziejów. Gdy chciałem już odjechać, zawołał nas wszystkich jeszcze raz brat Neuschafer, sędziwy dyrektor Szkoły Biblijnej – właśnie tych żonatych – i powiedział, że potrzebuje jeszcze jednego brata dla dwóch wspólnot osieroconych, mianowicie w miejscowościach: Oldenburg, Leer, Ithroe. Wszystkie leżały we Fryzji Wschodniej. Jeden z nas miał się zgłosić na ochotnika. Spojrzał przy tym na mnie. Zorientowałem się już. Ale zaraz przyszła myśl o żonie i dziecku. Jednakże odczułem, że mam się zgłosić. Ze łzami w oczach dziękował brat Neuschafer Bogu za to zgłoszenie i życzył mi błogosławieństwa Pańskiego na tę służbę w dniach Bożego Narodzenia. I Pan Bóg mi to wynagrodził. Kiedy bowiem już po wojnie znajdowałem się w obozie jenieckim w Holsztynie i nie wiedziałem, jaką podać miejscowość celem zwolnienia, przyszło mi na myśl Ithroe. Tak więc Fryzja Wschodnia stała się punktem wyjściowym mojej działalności po wojnie. Tak, Pan Bóg jest cudowny i przygotowuje wszystko wspaniale, po mistrzowsku. Niech Mu będzie chwała i dziękczynienie! Owa służba w okresie Bożego Narodzenia była bardzo absorbująca, ale też obficie błogosławiona. Poznałem rzetelnych baptystów, słuchających łakomie Słowa. Zazwyczaj mówili: „Jesteś wprawdzie inny, ale bardzo byśmy chcieli być takimi jak ty”. I często musiałem dzielić się z nimi swymi doświadczeniami z Bogiem.

I oto wówczas, 15 marca 1941, dotarł do mnie rozkaz stawienia się do poboru. Miałem jeszcze 5 wolnych dni. Mogłem pojechać do żony i dziecka do Łodzi, a 20 marca należało zgłosić się we Flensburgu.